

Jedrt Maležič: *Martwy punkt*

(Excerpt in Polish)

Translated by Marlena Gruda

Contact of the translator: marlena.gruda@gmail.com

Znajdź go

(63-71)

Zgłosiłam się, bo naprawdę wierzę, że tylko dzięki własnemu doświadczeniu możemy zacząć zmieniać poglądy i pokonywać uprzedzenia. W Żywej Bibliotece powiedziano mi, że nie będzie problemu, powiedziano, po długiej rozmowie, że byłoby szkoda, gdyby na zaproszeniu przedstawili mnie jedynie jako pracownicę socjalną, podczas gdy ja jestem *kimś jeszcze bardziej wyjątkowym*.

Szczerze, nie wydaje mi się, żeby tak było, więc odpowiedziałam im, że jestem po prostu Mina, że pracuję z pijakami i ćpunami, że codziennie czuję się jak pracownica w terenie, że nie jestem jakimś ewenementem i wolałabym, żeby nie traktowano mnie jak jakieś krasowe nadzwyczajne formy typu wyżłobienia, wgłębienia albo lapiazy, a jak *codzienne zjawisko*.

Nie noszę i nigdy nie nosiłam brody, to dopiero byłoby niezwykle, powiedziałam im, kobieta z brodą. Conchita jest tylko jedna, ja nią nie jestem. Ale jestem dobra w tym, co robię, w pracy z ludźmi. Z kobietami, ofiarami przemocy. To, co najwyraźniej ich nie interesowało albo interesowało dużo mniej niż moja sytuacja między nogami.

Ech, nie wiedziałam w tym momencie, jak miałabym odrzucić myśli, które przychodzą do głowy, gdy wszystkie argumenty przemawiają na moją korzyść, a one wydają się banalne i głupie. No, napiszcie *pracownica* socjalna, i już! Żadna ze mnie pracownik/-ca, nie uznaję się za niegodną czegokolwiek, w moim przypadku nie jest potrzebny nawet zacny ukośnik. *Tylko żeby było wiadomo*. Co ma być wiadomo, co? Że jestem konstruktem? Wy wszyscy jesteście

konstruktami, płęć jest konstruktem, a zwłaszcza wasze pomysły, żeby ludzi *przestrzec* przed moim określnikiem trans. Jestem kobietą, nieważne, której kategorii.

Dodałam: cały czas pracuję z ludźmi, wierzę w ludzi i w ich dobre zamiary, a jeśli opis „pracownica socjalna” realnie przykuje czyjąś uwagę, a potem się okaże, że mam jeszcze siusiaka i że w swoim numerze PESEL nadal przydzieloną liczbę nieparzystą, poproszę was o pomoc. Tak myślałam, wiadomo, skrajnie sarkastycznie, a gość i tak dał mi swój numer, *na wszelki wypadek, gdyby jakiś czytelnik Żywej Biblioteki stał się agresywny, nigdy nie wiadomo, kto się trafi w tych dniach*. Czulałam się trochę urażona. W końcu mam metr osiemdziesiąt siedem, chciałabym zobaczyć śmiałka, który zacząłby się do mnie dobierać.

Tak czy inaczej, wypożyczyła mnie sobie starsza pani, niższa ode mnie o dwie głowy.

To, że z wielką przyjemnością pracuję z ludźmi, wyjaśniłam jej w drodze do tych strucli na targu Plechnika, gdzie sobie zażyczyła pójść na ragu. Powiedziała, że mnie zaprosi, ale jeśli przyjdzie ktoś po datek, ona stawia. Wydało mi się to miłe, i nie miało nic wspólnego z litością. Prawdą jest, że tak mocno trzymała torebkę pod nogami i ciągle sprawdzała, czy tam jeszcze jest, że zaczęłam ją podejrzewać o małą paranoję.

Najpierw powiedziała:

- Wie pani, nie chciałabym się wtrącać, ale ci, co stoją przed supermarketami... mogliby się czasem przedstawić. Jesteśmy dla nich bankomatami, nikt nie ma czasu powiedzieć dzień dobry albo jak leci, jak ma na imię, życzyć wesołych świąt, zapytać, co będziemy mieli dzisiaj na obiad, takie rzeczy.

Oświeciłam ją, że „królowie ulicy”¹ mają legitymacje, na których są zapisane ich dane osobowe. Tak samo wyjawiałam, że większość ludzi nie myśli tak jak ona i nie ma czasu, nie interesuje ich to, i że ona, dodałam, najwyraźniej należy do tej mniejszości, która naprawdę dba o kontakt międzyludzki i że wydaje mi się to godne podziwu.

Powiedziała: - W oczach innych jestem dobrze sytuowana i to mnie dobija. Bo nie mam nic. Mam 1600 euro emerytury po mężu i ponad tysiąka opłat, licząc tylko nasze za duże mieszkanie. Ale powiem pani, oni nie potrafią *oszczędzać*, to fakt. Gdybym stanęła przed supermarketem, w dwie godziny dostałabym tyle, ile po 60 latach pracy na tydzień. Przyzwóicie! – mówi i puszcza oczko.

- Mówię pani, nic nie odkładają, w tym sęk.

Uprzejmie jej odpowiedziałam, że z doświadczenia *wiem*, że ona na pewno dostałaby więcej, bo jest ładnie ubrana i nie wygląda niebezpiecznie, cokolwiek to znaczy, i że ludziom z uprzedzeniami, a tacy są *wszyscy*, bezdomni nie wydają się godni zaufania, dlatego potrzebują naszej pomocy.

- Przecież, jeśli spojrzysz pani na te ich gazety – zerknęła zamyślona w dal nad mglistą Lublanicę – po co im te papiery? Tak, jakby udawali, że coś sprzedają, tylko o to chodzi. Zamiast powiedzieć: spójrzcie, nie umiem, dajcie, co łaska. Czasami dawało się co łaska i był spokój. A dzisiaj wszyscy chcieliby być biznesmenami i czymś handlować.

Miałam wrażenie, że wypożyczyła sobie mnie w Żywej Bibliotece tylko po to, żeby mnie przekonać, że mój zawód nie ma sensu. Nie znoszę tego uczucia. Dlatego dokładnie w momencie, gdy przyszedł kelner, żeby przyjąć zamówienie, zmieniłam temat.

¹ „Kralji ulice” tłum. Królowie ulicy – pierwsze i jedyne czasopismo o bezdomności i innych problemach społecznych, sprzedawane przez bezdomnych na ulicach Lublany.

– Dla mnie jedno ragu, a dla niej malinowy z kaszką i białą czekoladą – szybko go odprawiła.

- Tak naprawdę – uniosłam dwa palce jak w szkole – chciałabym tylko jedną wodę Radenską, dziękuję. Trzymam linię.

- O, jeszcze czego – odezwała się – niech pani trzyma linię w czasie wolnym, a nie ze mną! Tak jak powiedziałam. Strudel malinowy z białą czekoladą – ponownie zamówiła.

- Czy mam przynieść do tego mineralną, dla pana? – wymknęło się kelnerowi.

Udało mi się po raz pierwszy spojrzeć w twarz przekłętego pieprzonego kelnera pieprzonego straganowego bistro. Zezowaty Elvir z ósmej B. Można zwariować. Ta masa łożu mózgowego maltretowała mnie całą podstawówkę. Nic się nie zmienił.

Kiedy gapiłam się w jego zachodzące oblicze, Elvir puścił mi oczko. To w jednej sekundzie przeniosło mnie dwadzieścia pięć lat wstecz. Za każdym razem, kiedy zjadał mi drugie śniadanie, *moje* drugie śniadanie, puszczał mi oczko, jakbyśmy razem ganiłi owce po tym jego bośniackim podwórku. Macho wieśniak, i tyle.

Muszę się rozzłościć najbardziej niezauważalnie jak się da, pokazać mu, że jest idiotą i że wiemy o tym obaj, dlatego mówię tylko: - Moje zaimki są żeńskie. – Bo nie, o nie, nie pójdzie gładko, już obgadał mnie jak faceta. Innymi słowy jestem w pracy, dlatego nie mogę sobie pozwolić na sceny, wiem tylko, że ten smarkacz Elvir nie będzie mi podskakiwać. Niech lepiej zabiera się, biedaczek, po swoją obarę i strudel, w przeciwnym razie skrajnie binarnie go zniszczę szpiczastym obcasem. I bynajmniej nie figuratywnie.

- Dla pani duży kieliszek wody – staruszka spogląda na mnie z boku – i mały nalewki jagodowej – mówi. Zaraz potem się poprawia: - *Dla każdej* po kieliszku

nalewki. To będzie wszystko, dziękuję – prawie uderza go jadłospisem, który Elvir spokojnie odkłada na stół.

Tylko mi się wydaje, czy moją wypożyczającą ten zezowaty idiota tak samo denerwuje jak mnie? To nie może być dobre. Jeśli w tak delikatnym momencie zjawia się brutal z podstawówki, to nie może wróżyć nic dobrego. Postawiło mnie to w martwy punkt mojej martwej tożsamości i martwego imienia, wywoływanego na całą klasę przez wychowawczynie. Te same wychowawczynie, których nie obchodziły oskarżenia o przemoc, o których za każdym razem na konsultacjach zwracali uwagę moi rodzice, po tym, jak musiałam im powiedzieć, dlaczego nie chcę już chodzić do szkoły. „A tak dobrze mu szło”, dziwili się rodzice.

Tego człowieka już nie ma. Jestem tylko ja i jestem czystą magią, i królową tego pieprzonego targu, panuję nad degenami, takimi jak zezol Elvir, i przekonam do siebie babuszkę, która najchętniej wycofałaby pomoc dla osób słabszych. Taka jestem teraz. *You are magic – own that shit*, powtarzam sobie.

Nie słucham jej uważnie, gdy mówi, że powinnam się ostrzyć, bo mam rozdwojone końcówki zbyt długich włosów. Naprawdę? Ludzie przychodzą do Żywej Biblioteki, żeby wypożyczyć sobie osobę, której zaczynają moralizować, jak mają się ostrzyć? W którym wszechświecie jest to ich sprawa? Nie rozumiem, dlaczego zamiast pytań o moją pracę czekają mnie litanie na temat tego, jak mam żyć i jak wyglądać?

Mój dzień zderzył się z moim optymizmem. Dobrze przynajmniej, że mam prywatny numer do koordynatora Biblioteki. Nie jest już takie oczywiste, że wszystko będzie szło gładko.

Stara mówi: - Chyba znasz ten dowcip? Przechodzi na ty, co mi nie umyka. Potem zaczyna nawijać o tym, jak niepijący żebrak ma rogor mortis i nie oddycha.

Nie znam dowcipu. Ale widzę, że wytracił mnie z równowagi ten pieprzony Elvir, i to ostro. Odkąd złożyłyśmy zamówienie zerkam paranoicznie w stronę drzwi, jakby mnie *już* wziął na języki. Nie jestem pewna, czy nie wolałabym uciec od nalewek, których nawet nie mogę pić z powodu terapii hormonalnej, pewnie cymbał gęsto splunie do środka, i od tej męczącej pogawędki ze starą konserwatystką, podczas której coraz bardziej czuję się statystką. Co mi się stało, że zgłosiłam się do człowieczej książki? Czego szukałam? Chciałam uczyć innych, to teraz mam. Nikt mnie jakoś specjalnie o nic nie pyta, wszyscy tylko by mnie pouczali. Potraktuję to jako ćwiczenie tolerancji w szczególnych warunkach.

- Słyszałaś mnie w ogóle? – mówi staruszka. – Nie uśmiechnęłaś się. A zrozumiałaś, jedyny niepijący żebrak to martwy żebrak.

Myślę, że istnieje czas i miejsce, kiedy wypada być bezpośrednim.

- Proszę pani – mówię.

- Proszę pani – mierzę ją wzrokiem. *Czy się opłaca?*

- Proszę pani. – Ciągłe patrzy na mnie pytającym wzrokiem. – Czy już ktoś pani powiedział, że jest pani nietolerancyjna względem słabszych?

Jej twarz oblewa jakaś łagodność, co mnie mocno dziwi, bo spodziewałam się wybuchu. Potem powoli otwiera usta i zaczyna się z niej wysypywać jedna sama – powiedziałabym, niemal męska – opiekuńcza pasja pouczania myślących inaczej.

- Teraz to mnie pani źle zrozumiała. Nic się nie stało, to nie jest rzadkość, zdarza się. Wytłumaczę tak, żeby i pani poczuła, w czym jest sztos. Nie chodzi o to, żeby oni byli słabsi... chodzi po prostu o to...

- No, o co chodzi, niech mi pani powie, to pani była całe życie żoną utrzymanką, o co chodzi. A więc o co chodzi? Niech mi pani powie, czekam.

Znowu oblewa ją jakaś łagodność, naprawdę ją podziwiam. Z jaką lekkością robi wymach ręki, mimo że wie, że to prawda. Powinnam dodać, że taka gracia dosłownie unaocznia moje żeńskie ambicje. Chciałabym, naprawdę chciałabym być nonszalancka tak, jak ona. Nawet nie jest urażona, gdy próbuję ją sprowokować. Zwyczajnie chcę kłótni.

- Jesteś jeszcze młoda – pojednawczo klepie mnie po udzie.

Nagle zaczyna ni stąd ni zowąd padać śnieg. W wietrzny i mroźny dzień. Naprawdę nie mam szczęścia. Pokuśtykam do Biblioteki, istnieje duże prawdopodobieństwo, że w obcasach w taką pogodę się poślizgnę.

Idiota Elvir przynosi na nadgarstku strudel, a w dłoniach cielejącą obarę i nalewki jagodowe. Wody nie ma, w końcu nigdy nie był szczególnie kumaty, był za to na tyle sprytny, żeby potrafić, jeśli już, zapomnieć o najtańszej części zamówienia. I zmarnowałeś sobie napiwek, złotko.

- Dziękuję – mówię tak bardzo poniżająco, jak potrafię – to będzie wszystko – staram się przy tym naśladować elegancję i nonszalancję opiekuńczej kobiety obok mnie.

Gdy zezowaty Elvir znowu puszcza mi oczko, wstrząśnięta stwierdzam, że nie ma pojęcia, kim jestem. Pomyliłam się. Wszystko to była tylko nieprzyjemna pomyłka. Znowu powoli wraca do mnie optymizm, a drobny śnieżek zlepia się w większe kosmyki wilgotnych płatków.

Stara znów opiekuńczo dotyka mojego uda, jakby chciała zwrócić na siebie uwagę.

– Może rzeczywiście nie jestem zbyt nowoczesna, jestem za to bardziej dociekliwa. Dlatego sobie panią wypożyczyłam. Niech mi pani powie, jak to się stało, że jeszcze się pani nie wypaliła? Co panią popycha do pomagania ludziom, którzy sami się wpędzili w kłopoty?

Spoglądałam na nią ze zmarszczonymi brwiami, po czym ona przekształca pytanie: - Co panią trzyma na wodzie? – i lekko szczypie mnie w policzek, jakbym była jej własnością.

Mogłabym, w istocie z łatwością, skłamać, ale mi się nie chce. Nikomu nie pozwalałam wchodzić w moją intymną przestrzeń. Stara, dostałaś to, co chciałaś.

- Kiedyś dawno temu, kiedy rodzice i nauczyciele wychowywali mnie na chłopaka, widziałam, jak bardzo także elita, taka jak pani, dyskryminuje kobiety. Niech mi pani powie, czy przysłoby pani do głowy szczypać w policzek albo kłaść rękę na udzie na przykład... jemu?

Wzywam Elvira, który w tej samej chwili podchodzi z pełną tacą, idąc do jakichś innych klientów, i po drodze stawia nam na stole wodę mineralną. Stara podnosi wzrok i kręci głową, po czym wzrusza ramionami i patrzy jak ciele na malowane wrota.

- A? – mówi Elvir z otwartymi ustami, zgodnie ze swoim starym bydlęcym zwyczajem.

- A? – mówi stara.

A ja dopiero co się ogrzałam. Będę tu, aż nie przestanie padać, dzisiaj jestem żywą książką. – Daję pani to, po co pani przyszła – syczę do staruszki.

- Ty, Elvir – pokazuję palcem kolegę z klasy zezola – jeszcze dwie podwójne nalewki, raz dwa, w podskokach! – Jak widać, jest już do tego przyzwyczajony, bo obraca się na pięcie i idzie za bar.

- A ty – odwracam się do staruszki, której szczeka opadła z wrażenia – teraz usłyszysz, jak czuje się człowiek, który przeżywa więcej żyć, i w każdym z nich zdarza mu się bez przerwy wpadać na *dobrych ludzi*, którzy go cały czas napiętnują pod pretekstem własnej dobroci.

Stara wyraźnie przełyka ślinę, w końcu tylko dodaje: - Ale proszę pani, ja nie mam czasu, żeby...

Przymykam ją uderzeniem w stół. – ZNAJDŹ GO. I wiem, że nie będzie miała odwagi zaprzeczać, bo tylko koksy rozumieją *ten* język. I patrz czorta, najwyraźniej w końcu i ja mówię w tym języku, biegle, co jest dla mnie miłym zaskoczeniem.